



Wywiad z Maryną Szodą - rezydentką sieci Scholar at Risk w Willi Decjusza

2024-04-08

Od września 2023 r. do lutego 2024 r. Willa Decjusza gościła dr Marynę Szodę - tłumaczkę literacką, filolożkę białoruską i kulturoznawczynię. Dr Maryna Szoda jest kolejną rezydentką programu Scholars at Risk (SAR). Na zakończenie jej pobytu w willi przeprowadzono z nią wywiad. Zapraszamy do lektury.

Anna Słupek: Spotykamy się na końcowym etapie Twojej rezydencji w Willi Decjusza. Powiedz, jaki to był dla Ciebie czas?

Maryna Szoda: To był dla mnie najmiłszy czas. Czułam spokój, choć oczywiście docierały do mnie wiadomości międzynarodowe – również z mojego kraju – często bardzo niepokojące. O pewnych kwestiach po prostu nie można zapomnieć.

Willa natomiast jest bardzo inspirującym miejscem. Uwielbiam pokój w którym pracowałam. Widok z okna sprawił, że miałam przez cały czas poczucie bliskości natury. Siedząc przy biurku przetłumaczyłam prawie połowę – tj. 400 stron „Ksiąg Jakubowych” Tokarczuk. W czasie mojego czteromiesięcznego pobytu miałam także okazję współpracować z polskimi studentami, za co jestem wdzięczna. Przeprowadziłam kilka lekcji i seminariów na różne tematy, w tym o tłumaczeniach ze studentami z Katedry Ukrainistyki UJ. Omawialiśmy kilka ciekawych części z mojego przekładu, jednocześnie przywołując tłumaczenie ukraińskie. Studenci pomagali mi zrozumieć szczegóły, do których samej trudno byłoby mi dotrzeć.

A.S.: Nie jest to Twój pierwszy pobyt w Polsce ani w Krakowie, zawsze podkreślasz, że lubisz tu być i masz tu wielu przyjaciół. W jaki sposób te przyjaźnie przełożyły się na Twoją pracę naukową i dydaktyczną?

M.SZ.: Skorygowałabym jedną rzecz. Rzeczywiście już bywałam w Krakowie, ale jako rezydentka jestem po raz pierwszy. W Krakowie często uczestniczyłam w festiwalach oraz kongresach tłumaczy, odbywających się raz na cztery lata. To świetny pomysł Instytutu Książki, żeby skupić tak dużą liczbę tłumaczy na różne języki, rozmawiających z sobą w języku, z którego tłumaczą i o literaturze, którą tłumaczą. To ważne spotkania, ale trwają nie dłużej niż 5 dni. Te cztery miesiące w Krakowie były więc dla mnie niezwykle doświadczeniem. Marzyłam też, żeby skorzystać ze zbiorów w Bibliotece Jagiellońskiej. Są naprawdę fantastyczne.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Polski w 1998 r., na UW przy Ośrodku Badań nad Kulturą Antyczną prof. Jerzy Axer prowadził seminarium tłumaczeniowo-badawcze. Uczestniczyli w nim Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, Polacy i Bułgarzy. Po pewnym czasie utworzyło się grono złożone z Ukraińców, Białorusinów i Polaków, w ramach którego przyjaźnimy się do dziś.

Z wielką radością, rozpoczynając w październiku swoją rezydencję w Willi Decjusza, dowiedziałam się, że moja przyjaciółka z tamtych czasów, Kasia Kotyńska została kierowniczką Katedry Ukrainistyki na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Katarzyna jest świetną tłumaczką, ale też badaczką literatury ukraińskiej.



Kraków to w ogóle miasto, które przyciąga do siebie ludzi. W październiku dowiedziałam się, że przyjeżdża tutaj na seminarium Mariana Kijanowska, również przyjaciółka z tamtych czasów i z tego samego seminarium. Miałam szczęście spotykać się z nią i towarzyszyć na spotkaniach autorskich.

Spotkałam się także z kilkoma tłumaczkami z innych krajów – tłumaczkami z języka polskiego, tłumaczkami literatury, ale także tłumaczkami Olgi Tokarczuk. Jako tłumacze mieliśmy niezwykle doświadczenie, bo Olga w zeszłym roku zorganizowała Kongres Tłumaczy, w którym też uczestniczyłam. Przy okazji tego pobytu w Krakowie spotkałam się z poznaną wówczas tłumaczką Olgi Tokarczuk z Izraela – Mirą Borenstein. Tu poznałam Noemi Petneki – tłumaczkę literatury polskiej z Węgier, z którą również miałam okazję podyskutować. To były naprawdę inspirujące spotkania.

A.S.: Mówi się, że tłumacze są ambasadorami kultury krajów, na języki których przekładają. Ty przetłumaczyłaś szereg ważnych, współczesnych tekstów – m. in. Czesława Miłosza, Pawła Huellego, Michała Pawła Markowskiego czy Olgi Tokarczuk. Za „Weisera Dawidka” dostałaś Nagrodę czasopisma „PrajdziSvet”, za „Prawiek i inne czasy” byłaś nominowana. Skąd wzięło się Twoje zainteresowanie polską literaturą?

M.SZ.: Wspomnę tylko, że „PrajdziSvet” to dla mnie szczególna nagroda. Ze względu na to, że przez długi czas mieliśmy na Białorusi bardzo niewiele nagród literackich – a nagród za tłumaczenia nie mieliśmy w ogóle, powstało czasopismo „PrajdziSvet”. Założyli je młodzi ludzie, uczestnicy seminarium translatorskiego Andrieja Chadanowicza. Robili to w pełni nieodpłatnie.

Jeśli chodzi o moją przygodę z polską literaturą, to zaczęła się ona mniej więcej wtedy, co seminarium u Jerzego Axera. Wyjechałam na Uniwersytet Wrocławski, do szkoły językowej dla cudzoziemców, gdzie uczyłam się języka polskiego. Wtedy z moją przyjaciółką poprosiliśmy wykładowczynię o polecenie współczesnej literatury polskiej. Poleciała oczywiście Tokarczuk. Złożyłyśmy się z koleżanką i kupiłyśmy „Prawiek...”. Zaczęłam go czytać i pomyślałam, że chcę, żeby moi przyjaciele z Białorusi także przeczytali.

Niestety nie było to wtedy możliwe. Wchodzimy tutaj w kwestie problemów rynku tłumaczeniowego na Białorusi i branży literackiej w ogóle. Wtedy, w końcu I. 90. tłumaczenia powstawały tylko hobbistycznie. Państwo nie wspierało tego typu działalności. Nie było możliwości, żeby – jak w Polsce – tłumacz odnalazł ciekawego autora, zaproponował wydawnictwu tłumaczenie, a wydawnictwo podejmowało decyzję czy zawrzeć z nim umowę. Stało się to możliwe dopiero w latach późniejszych i to głównie w wydawnictwach niepaństwowych. Wtedy Łogwinow, wydawnictwo białoruskie, które prawdopodobnie jako pierwsze zaczęło wydawać tłumaczenia współczesnej literatury polskiej, zwróciło się do mnie z prośbą o wybór książki do przekładu. Zaczęło się od „Mercedes-Benz” Pawła Huellego, po nim był „Prawiek i inne czasy”, dalej „Kajtuś Czarodziej” Korczaka i inne.

A.S.: To wręcz symboliczne: „Prawiek...”, Tokarczuk jest pierwszą książką, którą przeczytałaś po polsku, a później zostałaś jej tłumaczką.

M.SZ.: Tak. Choć gdybym chciała być dokładna, powiedziałabym, że pierwszą styczność z polską literaturą miałam jako dziecko. Czytałam – wprawdzie w przekładzie rosyjskim – „Ziemie stonych skał” Stanisława Supłatowicza, „Sat-Okha”, bardzo popularnego wówczas w Związku Radzieckim pisarza. To swoją drogą ciekawa historia – Supłatowicz miał rzekomo indiańskie pochodzenie. Obecnie to dość



zapomniany autor, ale wtedy czytanie jego książki było dla mnie doświadczeniem porównywalnym do lektury Fenimore'a Coopera. Później – już jako nastolatka w Brześciu, w sieci księgarni „Družba” („Przyjaźń”), w której dostępna była literatura w językach krajów obozu socjalistycznego, kupiłam oryginał wydany po polsku i próbowałam czytać. „Prawiek...” był więc trochę później.

A.S.: Pomówmy chwilę o kondycji zawodu tłumacza. Stefan Ingvarsson, znany szwedzki tłumacz powiedział, że jego zawód polega na nieustannym decydowaniu. Co dla Ciebie jest największym wyzwaniem w konstruowaniu świata przedstawionego tłumaczonej powieści?

M.SZ.: Pewnie nie uda mi się wymyślić tak ładnego hasła jak Ingvarssonowi, ale się z nim zgadzam. Dla mnie najważniejsze to wyjść z języka, z którego się tłumaczy, nie podporządkowywać się jego strukturze. Na przykład między polskim a białoruskim jest – jak wiesz – sporo podobieństw, ale styl i struktura są zupełnie różne. Kiedy zaczynasz tłumaczyć czujesz pokusę, żeby w tym świecie zostać. To taka pokusa dosłowności. Ale też przyzwyczajenie. Wydaje ci się, że zdania już przetłumaczone brzmią niepoprawnie albo wręcz dziwnie. Trudno jest odejść od intencji językowej. Tłumacze, którzy przekładają na języki niesłowiańskie tego problemu nie mają. Między polskim i białoruskim jest wielu „fałszywych przyjaciół tłumaczy”.

A.S.: Co to znaczy?

M.SZ.: To są słowa, które wydają się brzmieć znajomo. Ich poprawne znaczenie można wyłowić tylko w kontekście. Najważniejsze dla tłumacza to być w kontekście. O! To będzie moje hasło!

Szczerze jednak przyznaję, że i to nie całkiem mój pomysł. Uczestniczyłam kiedyś w warsztatach „Tłumacze bez Granic” prowadzonych przez Adama Pomorskiego – to jego podejście jest tu inspiracją.

A.S.: W takim razie to chyba dobry moment, żeby zadać nieco ogólniejsze pytanie: kim właściwie jest tłumacz? Wydaje mi się że są dwie szkoły. Jedni – tak jak Paweł Świerkocki uważają, że tłumacz jest współautorem książki, inni – jak Katarzyna Kotyńska – twierdzą, że jest on tylko „cieniem” i nie powinien rzucać się w oczy. A może nie są to w ogóle sprzeczne wizje? Jaka jest Twoja perspektywa? Tłumacz kreuje opowieść czy ją odtwarza?

M.SZ.: Chyba najbardziej w tej kwestii zgadzam się z tobą. Można być i współautorem, i cieniem. Powiedziałabym, że to zależy od tego, jaką literaturę się tłumaczy. Tłumacz jest raczej współautorem, kiedy przekłada poezję. Nie może być cieniem. Powiem więcej: tłumacz poezji musi być poetą. Nawet kiedy – pracując nad przekładem – twierdzi, że nim nie jest i nigdy nie będzie, często po czasie odkrywa go w sobie. To przykład wielu moich przyjaciół. Jeśli natomiast tłumaczy się prozę, wówczas nie trzeba wykraczać poza to, o czym pisze autor.

A.S.: Nie trzeba czy nie można? To ważne?

M.SZ.: Nie powinno się tego robić. Tłumacz musi pamiętać, by przekład brzmiał w jego języku naturalnie i zrozumiale, ale jednocześnie – że to nie on mówi. To niełatwe. Czasem tłumacz pozwala sobie na zbyt wiele. Kiedy autor pisze lakonicznie, a tłumacz ulega pokusie przydawania tekstowi lekkości i ekspresji – popełnia duży błąd. To spore wyzwanie, by w tę pułapkę nie wpaść.



A.S.: Jednym z celów programu rezydencjalnego, w którym uczestniczysz jest pogłębianie dialogu międzykulturowego. Chcę zapytać o rolę tłumacza w tym procesie. Podwójne zakorzenienie przekładu – jednocześnie w oryginalnym i docelowym kontekście sprawia, że jako tłumaczka musisz też występować w roli mediatorki międzykulturowej. Z czym wiąże się taka rola w odniesieniu do tekstów i języków, z jakimi pracujesz?

M.SZ.: Oczywiście zawód tłumacza wymaga znajomości kultury kraju, z języka którego się tłumaczy. Tłumacz musi mieć wiedzę kulturową i literaturoznawczą. W ogóle uważam, że tłumacze są najlepszymi literaturoznawcami. Widzą rzeczy, których literaturoznawcy bez umiejętności translatorskich nie zobaczą, dlatego to ważne, żeby autorzy przekładów mieli interdyscyplinarne zainteresowania. Kiedy tłumacz przystępuje do pracy, musi pamiętać, by odpowiednio przekazać intencje autora. W tym sensie jest mediatorem – pomaga zrozumieć inność. Można oczywiście tworzyć przekłady, które po prostu dobrze się czyta, ale można też tworzyć takie, które będą głębiej osadzone w kulturze i wartościach kraju, na język którego się tłumaczy. Choć i tu ważne są proporcje. Często zdarza się, że tłumacz zbyt koncentruje się na tym, by przekładany tekst jak najmocniej zaadaptować, dostosować do innych realiów. Oczywiście należy zaopiekować się czytelnikiem, ale trzeba też w niego wierzyć.

A.S.: Jest coś, co w związku z relacjami międzykulturowymi szczególnie zwróciło Twoją uwagę podczas pobytu w Krakowie?

M.SZ.: Mogę tylko powiedzieć, że Kraków jest tak mocno osadzony w polskiej kulturze, że chyba nie ma lepszego miejsca, by jej się z bliska przyglądać. Ja przynajmniej na pewno innego bym nie wybrała. Willa Decjusza dla twórców, ludzi literatury i ludzi słowa to najlepsza przestrzeń. Oprócz spokoju, który daje sama willa, panuje tu także ogromne nasycenie kulturą. Na Białorusi brakuje mi kontaktu z historią. Z powodu wielu wojen i konfliktów, które przez ostatnie 500 lat mocno doświadczyły kraj, dziedzictwo kulturowe nie jest aż tak obecne. To zresztą był też jeden z priorytetów polityki radzieckiej – żeby odciąć się od historii, również przez nowe pomysły architektoniczne, które miały iść w parze ze sposobem myślenia o historii i dziedzictwie. Kiedy widzę, z jaką delikatnością i ostrożnością Polacy dbają o zabytki – na przykład, jak robi się to w Willi Decjusza, bardzo mi żal, że na Białorusi tak to nie wygląda. Miński *genius loci*, czyli duch miejsca jest w porównaniu do krakowskiego bardzo młody. To przykre, że ludzie, od których zależy to, jak wyglądają nasze miasta nie dostrzegają znaczenia świadków historii.

A.S.: Powiedz proszę na koniec, jakie są Twoje zawodowe plany na przyszłość?

M.SZ.: Podczas pobytu w Krakowie zrodził się we mnie pomysł, żeby przygotować monografię poświęconą analizie komparatystycznej technik narratorskich Olgi Tokarczuk z twórczością bardzo ciekawej białoruskiej pisarki – Ewy Wieżnawiec. Natomiast pod koniec maja przedstawię wydawnictwu swoje tłumaczenie „Ksiąg Jakubowych”, nad którym pracowałam podczas rezydencji w Willi Decjusza. W końcu roku wydawnictwo Pflaumbaum planuje białoruską premierę książki.



**Magiczny
Kraków**

pracę doktorską pt. „Mit i mitotwórczość w systemie twórczym Williama Butlera Yeatsa”. Od 2000 do 2021 roku pracowała w katedrze Kulturoznawstwa Wydziału Studiów Społeczno-Kulturowych na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym. Na przełomie 2022/23 roku pracowała jako profesor wizytujący na Europejskim Uniwersytecie Humanistycznym w Wilnie. W latach 2012–2016 r. uczestniczyła w spotkaniach i warsztatach Międzynarodowego Seminarium Translatorskiego „Tłumacze bez Granic”. Rezydentka sieci Scholar at Risk w Willi Decjusza w Krakowie od października 2023 do lutego 2024. Obecnie przebywa na stypendium w Wiedniu.

Anna Słupek - internacjolożka, doktorantka nauk politycznych w Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych UJ.